

# KOLEBKA „SOLIDARNOŚCI”

**O POLSKICH KRESACH PÓŁNOCNYCH ZE SŁAWOMIREM CENCKIEWICZEM I GRZEGORZEM BERENDEM ROZMAWIA BARBARA POLAK**

**B.P.** – Będziemy rozmawiać o Pomorzu Gdańskim, jego nieprostej historii najnowszej, związanych z tym osobliwościach i roli, jaką ten region odegrał w polskiej historii, której zwieńczeniem był Sierpień 1980 i narodziny „Solidarności”. Na początek warto wyznaczyć granice geograficzne Pomorza Gdańskiego.

**G.B.** – Roman Dmowski i działacze polsko-kaszubscy na Pomorzu przed I wojną światową uważali, że w przypadku odrodzenia państwa polskiego w naturalny sposób może ono aspirować do terenów położonych aż po zachodnie granice powiatu lęborskiego czy bytowskiego, o Słupsku już nie myślano. Powiaty bytowski i lęborski wchodziły w skład Rzeczypospolitej w ramach lenna i były zamieszkane w niemałym procencie przez ludność słowiańską, kaszubską. O tym mówiono w 1918 i 1919 r., ale tego projektu podczas konferencji pokojowej w Paryżu nie udało się zrealizować, więc w wyniku negocjacji przyjęto, że Pomorze Gdańskie na północy będą tworzyły powiaty kaszubskie – pucki, wejherowski, kościerski, kartuski, i na południu powiaty kociewskie – między innymi tczewski, gniewski, starogardzki. Stolicą przedwojennego województwa pomorskiego był Toruń. W 1919 r. stało się jasne, że nie uda się do odrodzonego państwa polskiego włączyć najważniejszego ośrodka miejskiego, czyli Gdańska.

**B.P.** – Jak po odzyskaniu przez Polskę niepodległości po I wojnie światowej przedstawiał się skład etniczny Pomorza, jakie odbywały się ruchy migracyjne i jak wyglądała struktura gospodarcza regionu?

**G.B.** – Po roku 1920 na Pomorzu Gdańskim mamy sytuację specyficzną pod względem etnicznym. Poszczególne obszary w dość istotny sposób różnią się pod względem struktury etnicznej ludności rodzimej. Przed rokiem 1919 w największych miastach na Pomorzu – Gdańsku, Grudziądzu czy Toruniu – dominowała ludność niemieckojęzyczna, w większości uważająca się za Niemców. Gdy w 1919 r. ustalono, że południowy rdzeń Pomorza Gdańskiego zostanie włączony do państwa polskiego, a specjalny status można przyznać tylko Gdańskowi, rozpoczął się eksodus ludności niemieckiej, w pierwszym rzędzie z miast, na tereny, które miały pozostać w granicach państwa niemieckiego, albo na teren, o którym było już wiadomo, że będzie to obszar Wolnego Miasta Gdańska. Nastąpiło swoiste odniemczenie miast i miasteczek pomorskich, a opuszczająca je ludność po części (nie znamy dokładnych liczb) trafiła do Gdańska. Dla całego Pomorza Gdańskiego możemy przyjąć, że od 1919 do 1931 r. wyjechało ponad trzysta tysięcy osób uznających się za Niemców, niezależnie od religii i wyznania (katolicy, protestanci i żydzi). Co do migracji Polaków czy Żydów polskich z innych obszarów, to dopóki nie ma impetu związanego z rozwojem i budową Gdyni, dopóty nie ma masowego pędu na północ, chociaż nowi ludzie przybywają tu tysiącami.

Na terenie Wolnego Miasta Gdańska w dwudziestoleciu międzywojennym dominowała ludność rodzima przyznająca się do niemieckości. Tak było do 1945 r. W Gdyni do 1 września 1939 r. dominowali Polacy. W elitach innych miast powiatowych – np. w Pucku, Wejherowie, Kościerzynie, Kartuzach czy Starogardzie Gdańskim – przeważała w dwudziestoleciu międzywojennym polska ludność rodzima, niekiedy nawet pochodzenia kaszubskiego czy kociewskiego. Pod względem politycznym największym poparciem miejscowych Polaków cieszyły się partie określane jako centrowe i prawicowe, związane z endecją i chrześcijańską demokracją. Lewica w powiatach kaszubskich i kociewskich miała znikome wpływy, PPS i komuniści byli liczniej reprezentowani tylko w Gdyni. W Gdańsku dominowały partie niemieckie, Polacy mieli niewielu reprezentantów w lokalnym parlamencie (Volkstag) – w przededniu wybuchu wojny było ich zaledwie dwu na siedemdziesięciu dwóch.

### **B.P. – Zmiana granic z pewnością spowodowała konieczność przegrupowania wojsk.**

**G.B.** – W Toruniu, Grudziądzu, Starogardzie tworzą się polskie garnizony, przybywa tu kadra oficerska i rodziny oficerów. Ale mamy przecież port morski w Pucku, pierwszy port odrodzonej Polski. Przy tworzeniu garnizonów i baz wojskowych, np. bazy samolotowej w Pucku, wykorzystywano dawną pruską infrastrukturę koszarową. Przybywają urzędnicy instytucji rządowych. Cechą polityki państwowej na tym obszarze było popieranie osób opowiadających się jednoznacznie za polsnością tych ziem. Ludność pomorska, kaszubska nie do końca miała taką opinię. Zwłaszcza koła wojskowe z dużą dozą podejrzliwości podchodziły do ludności miejscowej. Pojawił się problem podejrzeń o tendencje separatystyczne. Działacze kaszubscy uważali, że w momencie przyścia suwerenności Polski na ten obszar ludność rodzima powinna odgrywać istotną rolę w strukturach lokalnej administracji państwowej i samorządu lokalnego.

### **B.P. – Czy byli wśród nich przedstawiciele inteligencji?**

**G.B.** – Na Pomorzu, tak jak w całej byłej dzielnicy pruskiej, najsilniejsze wpływy miało duchowieństwo, które w sposób naturalny pełniło nadal po 1919 r. swoją służbę Bogu i wiernym. Niemcy nie awansowali zdeklarowanych Polaków w ramach struktur administracji, w starostwach czy w urzędach wyższego stopnia. Niemcy, dawni urzędnicy, odpłynęli z Pomorza samoistnie albo na wezwanie swoich przełożonych. Ich miejsce zajmowała wykwalifikowana kadra urzędnicza z innych dzielnic rozbiorowych – z dawnej Galicji, z Królestwa Kongresowego. Między ludnością rodzimą, polską, polsko-kaszubską a ludnością napływową pojawił się antagonizm. Część przybywających na północ Polaków odbierała Kaszubów, mówiących miejscowym dialektem, jako społeczność nie do końca polską, obcą. To byli ludzie ukształtowani przez pruski system oświatowy, pruskie wojsko, przyzwyczajeni często do innych norm zachowania codziennego niż przybysze, wśród których była również kadra oficerska. A był to czas toczącej się na całej ścianie wschodniej wojny. Część kadry oficerskiej zachowuje się tu w sposób nieobyczajny i ludność miejscowa przyjmuje to z ogromnym zgorzaniem.

## B.P. – Na czym to polegało?

**G.B.** – Karty, pijaństwo, korzystanie z usług parń lekkich obyczajów. To działo się w środku miasta powiatowego, a dla lokalnych działaczy niepodległościowych Polska była pewną koncepcją idealną, pewnym tworem lepszym. Miała uczynić z nich społeczność rządzącą, gospodarzy tego terenu. Polska nie była taka i nie mogła być idealna – w warunkach tworzenia struktur państwowych, dobierania kadr do instytucji państwowych. Wszędzie na obrzeżach Rzeczypospolitej pojawiał się problem ustalania tytułów własności do majątku opuszczonego przez Niemców, Rosjan, Austriaków i instytucji państwaborczych. Pojawili się ludzie próbujący wykorzystać tę sytuację, żeby za bezcen albo za drobne pieniądze przejąć ten majątek. Ludzie szukający takiej możliwości na Pomorzu mieli bardzo korzystną sytuację. Oto bowiem władze polskie postanowiły zrównać kurs marki polskiej z Królestwa z marką niemiecką, której siła nabywcza była znacznie wyższa. Jeśli ktoś przyjeżdżał z neseserem marek polskich, to tutaj nie spotykał na ogół Polaka czy Kaszuby, który miał taki sam neseser marek niemieckich. W przetargach na własność ponemiecką przybysze często dysponowali silniejszymi atutami i przejmowali majątek, który ludność rodzima uważała za bardziej jej przystługujący niż komuś obcemu. Kwestia rywalizacji o podział dóbr między miejscowymi a obcymi, czy napływowymi, występuje przez następne ćwierćwiecze. Powstają już wtedy pierwsze pojęcia określające różnicę między ludnością miejscową a napływową, funkcjonujące jeszcze w latach osiemdziesiątych – „bose Antki”, „Galicjanie”. Dotyczyły ludzi przybywających na Pomorze, żeby zdobyć pracę przy budowie Gdyni, która wchłaniała tysiące ludzi niemających kwalifikacji – ubogich, ale zdrowych, zdolnych do ciężkiej pracy fizycznej. Osoby zamożne, wykształcone, tworzyły kadrę urzędniczą, która np. kupowała ziemię i zakładała pensjonaty w nowych ośrodkach wypoczynkowych na wybrzeżu morskim – w Juracie, we Władysławowie czy w Dębках. Po II wojnie pojawia się kolejne pojęcie – „zabugaje”, dla tak zwanych repatriantów, *de facto* ekspatriantów z Kresów Wschodnich, z ziem zaanektowanych przez Sowieców. Przybysze odwdzięczali się miejscowym określeniami typu – „Niemiec”, „kaszub”, „krzyżak” czy „folksdojcz”.

## B.P. – Czy w Gdańsku przetrwała do 1920 r. Polonia?

**G.B.** – Tak. Była to nieliczna inteligencja – dziennikarze, prawnicy, niewielu przedsiębiorców. W dominującej części Polacy i Kaszubi mówiący na co dzień w swoim języku współtworzyli niższe warstwy społeczne – pracowników najemnych, portowych, stoczniowych, drobnomieszczaństwo, rzemieślników. Społeczność przynajmniej się do polskości, postępująca się językiem polskim, stanowiła grupę mniejszościową. Niemcy w naturalny sposób dążyli do wykazania jak najmniejszego udziału Polaków w społeczeństwie Gdańska. W dwudziestoleciu międzywojennym i wcześniej polscy demografowie starali się wykazać, że udział ten jest większy. W latach trzydziestych dla Wolnego Miasta Gdańska mamy do czynienia z taką rozpiętością – między dolnym progiem określanym przez Niemców na poziomie około 3 proc. a górnym progiem określanym przez urzędników polskich na poziomie 10 proc. (w czym ponad 50 proc. stanowili Polacy, którzy tu przy-

byli po 1919 r. jako przedsiębiorcy, urzędnicy) – na około 400 tys. mieszkańców, przy czym na Gdańsk przypadało 250 tys. Do dziś nie wiadomo, czy w statystykach dotyczących liczby osób posługujących się językiem polskim uwzględniono też kilka tysięcy polskich Żydów, obywateli Rzeczypospolitej.

### **B.P. – Jakie miejsce w strukturze społecznej Pomorza zajmowali Żydzi, czy byli poza Gdańskiem?**

**G.B.** – Społeczność żydowska w województwie pomorskim do kwietnia 1938 r. stanowiła znikomy odsetek ludności, bo nie przekraczała czterech dziesiątych procent. Ewenementem była Gdynia, gdzie po 1931 r. społeczność żydowska bardzo szybko się powiększała – o inwestorów, rzemieślników, drobnych kupców przybywających z centralnej Polski, z dawnej Galicji czy z Kresów Wschodnich. W szczytowym momencie wynosiła 4 proc. ludności Gdyni, czyli około 1700 osób. To, że udział kapitału żydowskiego w Gdyni był istotny, widać chociażby po spisach majątku skonfiskowanego przez hitlerowców w latach wojny.

### **B.P. – Jak wyglądała struktura majątków ziemskich?**

**G.B.** – Największe majątki pozostawały w rękach Niemców. Pewne zmiany nastąpiły w wyniku wyprzedawania majątków przez Niemców emigrujących, ale gros niemieckich ziemian przyjęło jednak obywatelstwo polskie, do czego mieli prawo. Polityka władz polskich zmierzała do wzmocnienia polskich wpływów na kresach północno-zachodnich. W polityce parcelacyjnej zalecano, aby wykorzystywać wszelkie kruczki prawne w celu przejęcia ziemi należącej do Niemców. Jeżeli tylko był jakiś punkt zaczepienia, decyzje administracyjne podejmowano na niekorzyść spadkobierców majątków niemieckich czy Niemców starających się o kupno. I to było skuteczne. W skali całego kraju w ciągu dwudziestu lat areał ziemi w rękach niemieckich zmniejszył się o 51 proc. W jakichś proporcjach miało to miejsce również na północy, co nie pozostało bez wpływu na stosunek ludności niemieckiej do państwowości polskiej. Polacy uznawali to jako wzmocnienie swoich wpływów, Niemcy odbierali to jako formę dyskryminacji. Poczynania polskie w dwudziestoleciu międzywojennym były lustrzanym odbiciem poczynań niemieckich z przełomu XIX i XX wieku, ale wszystko to mieściło się w ramach państwa prawa – bez rabunku, wywłaszczeń czy wypędzeń. Atak niemiecki i dwa tygodnie później – sowiecki na Kresach – tworzy dla ziem polskich zupełnie nową sytuację.

### **B.P. – Kwestie narodowościowe zaczyna się rozwiązywać poprzez rabunek i ludobójstwo.**

**G.B.** – To jest tragiczna zmiana jakościowa, która zapoczątkowała koniec Rzeczypospolitej wielu narodów. Eksodus Niemców z 1919 r. i lat następnych nie był wymuszony polskimi represjami, gwałtem, rabunkami – to była opcja, żeby przenieść się na teren rządzony przez rodaków z nadzieją, że „polskie państwo sezonowe” upadnie i będzie można wrócić

do siebie. Ci, którzy zostali, funkcjonowali do 1 września 1939 r. z szeroką infrastrukturą gospodarczą, kulturalną, społeczną i polityczną, z reprezentacją parlamentarną. Honorowane były ustalenia i normy międzynarodowe oraz konstytucyjne, gwarantujące mniejszościom narodowym równouprawnienie obywatelskie, chociaż tendencja do polonizacji obszarów kresowych, nadgranicznych była stała i występowała od 1920 do 1939 r.

Przychodzi czas wojny, w październiku i listopadzie obszar Wybrzeża został przemianowany na Okręg Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Znalazł się w nim Gdańsk, dawne województwo pomorskie i obszary tzw. rejencji kwidzyńskiej, które w międzywojniu wchodziły w skład Prus Wschodnich. Celem „króla Alberta” – tak potocznie nazywano lokalnego zwierzchnika administracji hitlerowskiej, namiestnika Rzeszy Alberta Forstera – było doprowadzenie do Niemczenia podległego mu obszaru w jak najszybszym okresie i jak najpełniejszej formie – czyli przede wszystkim usunięcie z tego obszaru polskiej warstwy przywódczej, z Gdańska, Gdyni, miasteczek powiatowych i gmin.

### B.P. – Kogo do niej zaliczano?

G.B. – Polska warstwa przywódcza to są zarówno Polacy, którzy napłynęli na Pomorze po odzyskaniu niepodległości, jak i przedstawiciele elit polskich spośród ludności lokalnej. Wszyscy oni – w części już przed wojną – trafili na listy proskrypcyjne, które zostały zresztą uzupełnione po 1 września 1939 r. Było to konsekwencją polityki ponownej germanizacji Pomorza Gdańskiego (*Eindeutschung* – „wniemczenie”). Rozpoczyna się to, czego tuż po kampanii wrześniowej jeszcze nie doświadczyły pozostałe tereny państwa polskiego. Jesienią 1939 r. rozpoczyna się okres eksterminacji trzydziestu kilku tysięcy Polaków i Żydów (wg źródeł polskich, ponad sześćdziesięciu – wg badaczy niemieckich). W setkach przypadków wykonawcami represji i eksterminacji byli członkowie oddziałów tzw. niemieckiej samoobrony (*Selbstschutz*), rekrutujący się spośród lokalnej ludności niemieckiej. Poza tym na Pomorzu działały od września 1939 r. grupy operacyjne, czyli *de facto* grupy likwidacyjne, składające się z funkcjonariuszy różnych hitlerowskich służb specjalnych, m.in. Policji Bezpieczeństwa.

Kryterium likwidacji Polaków była aktywność polityczna na tym terenie w dwudziestoleciu międzywojennym. Specyfiką Pomorza jest to, że hitlerowcy uznają za grupę polonizacyjną na tym obszarze polski kler rzymskokatolicki. W czasie II wojny światowej straciło życie ponad 60 proc. pomorskich księży rzymskokatolickich, zakonników i zakonnice. Eksterminacji podlegali też działacze Polskiego Związku Zachodniego, urzędnicy starostw, gmin, działacze samorządowi, burmistrzowie, radni. Do grupy wrogów Niemczyzny zaliczani są na Pomorzu w pierwszej kolejności lokalni działacze narodowej demokracji. Ich nazwiska były na listach proskrypcyjnych. Hitlerowcy znali je dzięki działaczom legalnych lub konspiracyjnych ugrupowań hitlerowskich.

W przypadku tzw. polskiej warstwy przywódczej polityka hitlerowców była tragicznie prosta i konsekwentna. Jej przedstawiciele mieli zniknąć, czy to za drutami obozów koncentracyjnych, czy też wymordowani w masowych egzekucjach. Do ustalenia pozostawał sposób postępowania z dominującą liczebnie częścią ludności Pomorza Gdańskiego, która do 1939 r. nie uważała się za Niemców i nimi nie była.

**B.P. – Jak rozwiązano tę kwestię?**

**G.B.** – Byli to dawni poddani Hohenzollernów – obywatele państwa niemieckiego – i ich dzieci. Wstępne założenie było takie, że ta ludność pozostanie i trzeba ją zasymilować (*Eindeutschung*). Ale większość ludności miejscowej nie zgłaszała opcji niemieckiej. Dość powiedzieć, że gdy w grudniu 1939 r. przeprowadzono spis ludności na tym obszarze i przy określeniu języka była możliwość podania kaszubskiego jako języka ojczystego, większość osób wybierająca tę opcję zadeklarowała jednocześnie narodowość polską (100 tys.), druga co do liczby grupa – narodowość kaszubską (81 tys.) i zaledwie kilka tysięcy narodowość niemiecką (7 tys.). W marcu 1941 r. przyjęto rozporządzenia o Niemieckiej Liście Narodowej (*Deutsche Volksliste*), dając możliwość zgłaszania opcji niemieckiej ludności słowiańskiej z dawnych Prus Zachodnich. Skala zgłaszania wniosków o wpis na NLN została uznana przez Forstera za niezadowalającą. Dlatego 22 lutego 1942 r. obwieścił, że osoby, które mogą ubiegać się o wpis na NLN, a nie korzystając z tego „przywileju”, zostaną uznane za „najgorszych wrogów narodu niemieckiego”. Na Pomorzu doskonale pamiętano, co to może oznaczać w praktyce. Z jednej strony znacznie zwiększyła się liczba składanych wniosków. Czynili to również żołnierze lokalnych polskich organizacji konspiracyjnych. Według statystyk niemieckich do stycznia 1944 r. warunkowo na NLN wpisano 727 tys. pomorskich Polaków. Z drugiej strony ci, którzy nie chcieli złożyć deklaracji, starali się jak najszybciej przenieść do Generalnego Gubernatorstwa. Tu pojawił się jednak problem polityki Hansa Franka, który już wcześniej sprzeciwiał się kierowaniu na podległy mu obszar Polaków z ziem wcielonych do Rzeszy.

Hitlerowcy nie wszystkich wnioskodawców uznali za „godnych” wpisu na NLN. Część osób uprawnionych, mimo obaw, nie złożyła podań. Poza tym w Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie do końca panowania hitlerowców nadal żyli Polacy przybyli przed 1939 r. z innych regionów, których nie wysiedlono, ponieważ okazali się potrzebni jako siła robocza. Różnorodny status formalno-prawny mieszkańców sprawił, że do końca okupacji udało się na Pomorzu przetrwać 605 tys. Polaków, których z różnych powodów nie wpisano na NLN.

**B.P. – Wielu z nich żyło w wielkim ubóstwie.**

**G.B.** – Bo inną formą walki z polskim stanem posiadania był rabunek mienia. Majątek tysięcy polskich i żydowskich rodzin został skonfiskowany. W Generalnym Gubernatorstwie można było przyznawać się do polskości i być kamienicznikiem, ziemianinem czy przedsiębiorcą aż do końca okupacji niemieckiej. Tu, na Pomorzu Gdańskim, było to niemożliwe. Osoba zakwalifikowana jako Polak mogła być – co najwyżej – źle opłacanym, stale nadzorowanym pracownikiem najemnym.

Polityka depolonizacji Pomorza Gdańskiego polegała również na systematycznym rugowaniu z życia publicznego, a nawet prywatnego, języka polskiego. Hitlerowcy usuwali napisy polskie, zlikwidowali absolutnie wszystkie instytucje polskie – gospodarcze, kulturalne, społeczne i oświatowe. Nie było mowy o utrzymaniu szkolnictwa z polskim językiem nauczania. Bodaj najdrastyczniejszym przejawem walki z językiem polskim był



zakaz używania go podczas nabożeństw i innych obrzędów religijnych. Zakazano spowiedzi w języku polskim. Gestapo wysyłało prowokatorów, którzy sprawdzali, czy księża przestrzegają tych przepisów. W Gdańsku pierwsze po 1 września 1939 r. nabożeństwo w języku polskim odbyło się dopiero wiosną 1945 r. w kościele protestanckim, przejętym przez jezuitów, przy dzisiejszej ulicy Mickiewicza.

**B.P. – Jakiej konfesji była ludność kaszubska?**

**G.B.** – Na terenie Pomorza Gdańskiego byli to w znakomitej większości katolicy, na zachód od Lęborka i Bytowa – protestanci. To potem determinowało wybory narodowe.

**S.C.** – Protestantyzm pretendował do miana religii państwowej, protestanci niemieccy uznawali swoją religię za wyznanie niemieckie, narodowe. Przez to byli znacznie bardziej podatni, lub raczej mniej odporni, na doktrynę narodowego socjalizmu.

**G.B.** – Byli w Gdańsku duchowni protestanci zafascynowani skutecznością niemieckiego narodowego socjalizmu, pomagający np. w tropieniu osób, których przodkowie byli Żydami, przyjęli chrzest i stali się członkami Kościołów protestanckich. Były specjalne sekcje do przeglądania ksiąg parafialnych pod tym kątem. Na terenie Wolnego Miasta Gdańska gros katolików to byli Niemcy i choć katolicka ludność niemiecka była mniej liczna niż protestanci, były to dziesiątki tysięcy osób, które poszły za Hitlerem.

**B.P. – Powiedzmy o miejscowym biskupie, którym był Carl Maria Splett.**

**G.B. –** Problem biskupa Spletta polega między innymi na tym, że jego próby sprzeciwiania się zarządzeniom gestapo prowadziły do aresztowania kolejnych księży. Taki tańcuszek – stawisz opór, my bierzemy następnych. W 1940 r. Watykan upomniął biskupa w związku z rozporządzeniami na temat spowiedzi po niemiecku, ale on złożył wyjaśnienia i Stolica Apostolska przestaje interweniować. Jego argumentacja była taka – mogę to robić, tylko że to będzie kosztowało kolejne ofiary, nie dając żadnego pozytywnego efektu. Hitlerowcy wykorzystali wyjazd biskupa chełmińskiego Stanisława Okoniewskiego z Polski we wrześniu 1939 r. i doprowadzili do powierzenia administrowania jego diecezją właśnie biskupowi gdańskiemu Splettowi, który był do 1945 r. odpowiedzialny za struktury Kościoła katolickiego w obu diecezjach. W 1945 r. nie ewakuował się z armią niemiecką, a po zajęciu Gdańska przez Armię Czerwoną i administrację Rządu Tymczasowego próbował kontynuować wykonywanie swoich obowiązków duszpasterskich. Władze Polski Ludowej przedstawiły go jednak polskiej opinii publicznej jako współwynawcę hitlerowskiej antypolskiej polityki okupacyjnej i doprowadziły w 1946 r. do wytoczenia mu procesu, w wyniku którego został skazany na 8 lat więzienia, a następnie internowany w latach 1953–1956.

**S.C. –** Był to klasyczny spór między polskimi katolikami a katolikami niemieckimi. Biskup Splett odwoływał się po wojnie do tego, że ratował substancję katolicką, chociaż uważał się, co zrozumiałe, za patriotę niemieckiego (nie można mieć o to do niego pretensji). Uważał Pomorze za terytorium należne Niemcom i nie pogodził się z poczdamskimi rozstrzygnięciami, co pokazuje chociażby jego działalność powojenna, kiedy to duszpasterzował wygnańcom z Gdańska. Broniąc stanu posiadania Kościoła katolickiego w Gdańsku i w diecezji chełmińskiej, którą oficjalnie w grudniu 1939 r. przejął pod nieobecność bp. Okoniewskiego, w polityce personalnej stosował kryteria narodowościowe, bardziej broniąc księży niemieckich przed szykanami nazistów. W kwestii polskich księży, którzy zostali wysiedleni i wywiezieni np. do Dachau, nie protestował. I to jest ten rodzaj polsko-niemieckiego sporu, który wydaje się nierozstrzygalny. Ciągnie się on od czasu wybuchu II wojny światowej, co zapoczątkowało wspomniane już przejście diecezji chełmińskiej. Protestował przeciwko temu polski ambasador przy Watykanie – Kazimierz Papée – oraz sam bp Okoniewski, który w 1939 r. otrzymał od wojewody toruńskiego Władysława Raczkiwicza nakaz opuszczenia diecezji. Biskup Okoniewski nigdy decyzji Stolicy Apostolskiej nie uznał i do końca swych dni (zmarł w 1944 r.) tytułował się biskupem chełmińskim.

**G.B. –** A jeszcze inna rzecz, jak wykorzystano tę sytuację w relacjach między państwem a Kościołem i „władzą ludową” a Watykanem – to był przecież jeden z pretekstów do wypowiedzenia przez komunistów konkordatu i zerwania stosunków dyplomatycznych.

**B.P. – Czy 17 września został tutaj w jakikolwiek sposób odczuty, czy są jakieś ruchy, czy pojawiają się jacyś ludzie, uchodźcy ze Wschodu?**



**G.B.** – To jest problem innego obszaru. Tutaj cezurą jest decyzja Hitlera o wcieleniu Pomorza Gdańskiego do Rzeszy z 8 października 1939 r., wypracowanie koncepcji reorganizacji i depolonizacji tego terenu przez eksterminację, deportacje – np. wypędzenia z Gdyni zapoczątkowane już 12 października 1939 r. – i usuwanie wszelkich przejawów polskości. Jednym z bardziej skomplikowanych i brzemiennej w skutkach problemów było wpisanie ponad siedmiuset tysięcy Pomorzan do tzw. III grupy NLN. Przez Polaków z innych obszarów okupowanej Polski, niezających zasad niemieckiej polityki narodowościowej na Pomorzu, ci wpisani byli tym samym, co folksdojczycy znani z Generalnego Gubernatorstwa, których nie postawiono wobec alternatywy „wpis” lub „uznanie za najgorszych wrogów Rzeszy”.

Podejście władz Polski Ludowej do kwestii wpisów do III grupy NLN było w 1945 r. formalnie znacznie bardziej liberalne niż w odniesieniu do GG. Komuniści przyjęli, że tu odbywało się to pod przymusem, pod groźbą utraty życia, pozbawienia wolności, wywłaszczenia, i trzeba prowadzić inną politykę niż wobec folksdojczyców z GG.

### **B.P. – Podobnie jak na Śląsku i w Wielkopolsce.**

**G.B.** – Absolutna większość tych wpisanych na listę do grupy III odzyskała bez większego kłopotu obywatelstwo polskie w 1945 r., co nie znaczy, że byli oni traktowani po wojnie podobnie jak Polacy, którzy na tę listę nie zostali wpisani. Imigranci z innych terenów okupowanych traktowali miejscowych Polaków z III grupy i miejscowych Niemców łącznie jako folksdojczyców.

**S.C.** – Kadry Urzędu Bezpieczeństwa i partyjne stanowili ludzie w większości napływowi. Spotkałem kiedyś ubeka-klawiszka, który przybył do Gdańska z Warszawy, z oślawionego X Pawilonu, i który powiedział mi wprost, że gdy dowiedział się, ile osób tutaj podpisało folkslistę, nie zastanawiał się nad specyfiką regionu. Dla niego wszyscy oni byli kolaborantami i folksdojczami, lub wręcz hitlerowcami. Opowiadał, jaką miał satysfakcję, kiedy doglądał i gnębił w więzieniu bp. Spletta, np. ubierając się z kolegami z bezpieki w jego szaty liturgiczne.

**G.B.** – W 1945 r. wracających z obozów, z wygnania członków konspiracji niepodległościowej, np. z Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, przyjmowano do lokalnych struktur władzy, do urzędów, ale już w 1946 r. część z tych osób trafia do kazamat UBP. Do 1949 r. zniknęły wszystkie powstałe zaraz po wojnie kaszubskie instytucje kulturalne i społeczne. Awansowanie członków rodzin wpisanych przez hitlerowców do III grupy NLN, przyjmowanie do pracy w instytucjach rządowych i do szkół oficerskich zaczęło się dopiero od przełomu 1949–1950 r., dotyczyło więc osób, które w momencie zakończenia wojny miały lat 15, czyli znalazły się na liście nie na mocy własnej decyzji, tylko za sprawą rodziców. Przynależność do III grupy przez kilkadziesiąt lat utrudniała życie. Aparat bezpieczeństwa obserwował tych ludzi z równym zapałem jak tzw. rewizjonistów, Świadków Jehowy, kler katolicki czy dawnych członków PSL, PPS lub żołnierzy podziemia niepodległościowego.

**B.P. – W jakim stanie struktury materialnej wyszło z wojny Trójmiasto?**

**G.B.** – Był niemiecki plan zrujnowania Wybrzeża Gdańskiego tak, aby uczynić je przysłowiową spaloną ziemią, żeby zostawić Armii Czerwonej jak najmniej albo nie zostawić niczego, co mogłaby wykorzystać do prowadzenia wojny. To przewidywał tzw. plan „Ewa”. Zresztą już od wiosny 1944 r. demontowano i wywożono infrastrukturę przemysłową oraz ewakuowano część pracowników zakładów strategicznych wraz z rodzinami. W końcu 1944 r. na Pomorze Gdańskie trafiły masy uciekinierów i wycofujących się oddziałów niemieckich. Do końca kwietnia 1945 r. ponad milion żołnierzy i osób cywilnych drogą morską ewakuowano przez porty Gdańska, Gdyni i Helu.

**B.P. – Ile obiektów przemysłowych ewakuowano a ile zostało na pastwę Armii Czerwonej?**

**G.B.** – Nie wiemy do dziś, co i ile wywieźli Sowieci, co i ile zostało zniszczone podczas działań wojennych. Walki o Gdynię, o Gdańsk były bardzo ciężkie i krwawe. Trzeba pamiętać o skutkach działalności artylerii i lotnictwa bombowego amerykańskiego, niemieckiego i sowieckiego. Rozmiary zniszczenia powiększyli Sowieci, którzy już po zakończeniu walk w Gdańsku i innych miastach spalili wiele budynków.

**B.P. – Sowieci traktowali Gdańsk jako miasto niemieckie. Tak było też na Śląsku.**

**S.C.** – Z drugiej strony od XIX wieku w sensie kulturowym było to naprawdę niemieckie miasto.

**G.B.** – Wśród ludności, która tutaj była w momencie wkroczenia Armii Czerwonej, przedstawiciele Polonii stanowili kilka tysięcy osób. Na pewno nie więcej.

**B.P. – Co stało się z białymi Rosjanami?**

**G.B.** – Zarówno Rosjanie, jak i Ukraińcy stanowili na terenie województwa pomorskiego i w Wolnym Mieście Gdańsku nieliczne grupy. Przetrwali na miejscu wojnę, bo ich nie kwalifikowano jako wrogów III Rzeszy. Niektórzy byli tu do 1945 r., kiedy Armia Czerwona i sowieckie służby specjalne przystąpiły do wyłapywania „elementów kontrrewolucyjnych i wrogich” – obywateli sowieckich. Ci ludzie, wiedząc, co ich może spotkać, kiedy wrócą do Sowietów, starali się za wszelką cenę uniknąć rejestracji, zmieniali często miejsca pobytu na tyle skutecznie, że oni czy potomkowie białej emigracji rosyjskiej do dziś mieszkają w Trójmieście.

**B.P. – Miasta zaludniają się, w wyniku wojny zmienia się struktura ludnościowa miast Wybrzeża.**

**G.B.** – Są kwestie, które nadal wymagają wyjaśnienia. Nie wiemy np., co stało się z dziesiątkami tysięcy gdynian, latem 1939 r. bowiem w mieście zarejestrowanych było około

127 tys. mieszkańców, a w lutym 1946 r. tylko nieco ponad 70 tys. W małych miastach z północnej części Pomorza Gdańskiego dominowała liczebnie ludność rodzima, ta zaliczona do III grupy NLN. Natomiast Niemcy, którzy nie uciekli na zachód, zostali wysiedleni w większości w latach 1945–1947. Tylko stosunkowo nieliczni pozostali w Polsce po 1948 r., na ogół byli to ludzie wyreklamowani od wysiedlenia przez sąsiadów jako przyzwoci, pomagający polskim rodzinom w okresie wojny. Po zakończeniu podstawowej fali wysiedleń ludności niemieckiej na omawianym obszarze zaczęła dominować rodzima ludność polska i dziesiątki tysięcy Polaków przybywających z centralnej Polski i ekspatriowanych z terenów zabużańskich. Ponadto przez województwo gdańskie w latach 1945–1947 przeszło około 3 tys. Żydów. W Gdańsku i w Gdyni mamy sytuację o tyle niezwykłą, że około 50 proc. z nich to osoby, które przetrwały pod okupacją niemiecką na tzw. aryjskich papierach czy w gettach i obozach. To bardzo wysoki procent. Inni przeżyli w Związku Sowieckim. W samym Gdańsku mieszkało w latach 1945–1949 w różnych okresach łącznie co najmniej tysiąc osób pochodzenia żydowskiego. W 1947 r., głównie na tereny wiejskie i sąsiednie, trafiają Ukraińcy z akcji „Wisła”. Wśród ekspatriowanych ze Wschodu byli Karaimi, nieliczni Tatarzy czy Ormianie ze Stanisławowa.

#### **B.P. – Zatrzymano też niemieckich specjalistów.**

**G.B.** – To była kwestia praktycznych problemów – w dużej części dokumentacja infrastruktury komunalnej uległa zniszczeniu, pozostawała wiedza i doświadczenie pracowników niemieckich, którzy ją odtwarzali i uczyli Polaków obsługi urządzeń. W Archiwum Państwowym w Gdańsku niemiecka archivistka pracowała do 1956 r. – była chodzącą encyklopedią wiedzy na temat zasobu aktowego. Wyjechała do Niemiec w ramach tzw. akcji łączenia rodzin. Podobnie było z innymi Niemcami.

#### **B.P. – Trwały dyskusje, czy odbudowywać całe miasto, czy nie.**

**G.B.** – Wiele uwagi poświęcono dyskusjom na temat przyszłego kształtu Gdańska, czy ma to być miasto polskie, nowe pod każdym względem, również architektonicznym, czy też nawiązujące do dawnych tradycji. Zwyciężył pogląd, że trzeba nawiązać do tradycji związków miasta z Rzeczypospolitą. Między innymi dlatego odbudowano Stare Miasto. Zrezygnowano natomiast z prób rekonstruowania całego śródmieścia w kształcie, jaki przyjęło ono w okresie porzbiworowym.

#### **B.P. – Powiedzmy o podziemiu antykomunistycznym na tych terenach.**

**G.B.** – Do Trójmiasta przybyli po wojnie ludzie z obszarów, na których działalność konspiracyjna – antyniemiecka czy antysowiecka – była bardzo intensywna. W części są to konspiratorzy, którzy zacierają za sobą ślad i chcą się na tych nowych terenach „zgubić” tropiącym ich funkcjonariuszom UB. Przybywa kilkadziesiąt tysięcy osób, które poznały pierwszą i drugą okupację sowiecką. Jak już powiedziano, rodzima ludność polska przed wojną popierała głównie endecję i chadecję, a nie lewicę, tym bardziej nie komunistów.

Wszystko to sprawiało, że akcje podejmowane przez komunistów były z ogromną rezerwą przyjmowane przez dziesiątki tysięcy starych i nowych Pomorzaków.

**S.C.** – Ale to nie znaczy, że oni opowiadali się za czynnym, zbrojnym oporem wobec nowej władzy. Doskonałym przykładem może być piękna postać ks. Zator-Przytockiego, żołnierza i kapelana AK, który zaangażował się w odbudowę Gdańska, a który nie pochwaliał trwania w opozycji w rękach. Podobnie myślał Lech Bądkowski, żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, społecznik, literat i pisarz.

**G.B.** – Byłoby dużym błędem traktowanie wszystkich organizatorów nowych instytucji publicznych na Pomorzu Gdańskim jako zaangażowanych budowniczych komunizmu. Byli to Polacy, którzy próbowali zachować ocalałą substancję materialną i budować zręby bytu narodowego w odzyskanym dla Polski Gdańsku. Trudno przecenić ich wkład w rozwój miasta i regionu. Nowa władza tolerowała niekomunistów z konieczności. Okres bardziej skrupulatnej weryfikacji politycznej kadr miał dopiero nastąpić.

Natężenie terroru wzmożło się w 1946 r., a w 1947 r., podczas wyborów sejmowych, były tu przypadki niedopuszczania antykomunistów do urn wyborczych. Z czasem UBP spacyfikował wszystkie środowiska legalnej opozycji. Przestała ona istnieć. Pod koniec lat czterdziestych powstawały jedynie, tworzone głównie przez młodzież, kilkusobowe grupki oporu, prowadzące akcje ulotkowe. To była młodzież licealna, szkolna, która gromadziła białą broń, nazwy jej organizacji odwoływały się do niepodległości, do symboli narodowych, Orła Białego. UBP na ogół szybko likwidował tego typu organizacje. Niemniej dzięki nim, nawet jeśli ich działalność nie przybrała większych rozmiarów, można powiedzieć, że wystąpienia mieszkańców Pomorza Gdańskiego w latach 1945–1956 przeciwko komunistycznej rzeczywistości są udokumentowanym faktem.

### **B.P. – Jak przebiegał tu rok 1956?**

**G.B.** – Lokalni decydenci późno zareagowali publicznie na toczoną w KC PZPR dyskusję o konieczności dokonania zmian w kraju. Na Wybrzeżu mamy do czynienia z opanowaniem komitetu wojewódzkiego partii przez ludzi, których zaliczano do tak zwanej konserwy. Do ostatniego momentu, do VIII Plenum KC PZPR w 1956 r., mieli oni nadzieję, że to Zenon Nowak będzie dominować w Biurze Politycznym, a nie Gomułka czy ludzie z jego ekipy. Zwycięstwo Władysława Gomułka i oparcie się w pierwszym momencie na tych, którzy chcieli coś zmienić w sposobie rządzenia, spowodowało, że grupa gdańskich partyjnych konserwatystów została odsunięta na boczny tor. Czytając protokoły posiedzeń Egzekutywy KW PZPR z 1956 r., można odnieść wrażenie, że lokalni decydenci partyjni bali się, iż na ich terenie może dojść do takich zdarzeń jak 28 czerwca 1956 r. w Poznaniu. Nie byli pewni, czy MO i inne służby zdołają zapobiec rewolcie społecznej. Ton niepokoju znika dopiero w końcu roku 1957. Mimo wyhamowania procesu zmian, także Wybrzeże doświadczyło trwałych zdobyczy roku 1956. Na wolność wyszła część więźniów politycznych. Mieszkańcy Pomorza mogli odwiedzać krewnych żyjących na Zachodzie i przyjmować ich u siebie. W grudniu 1956 r. nastąpiła reaktywacja społecznej aktywności Kaszubów, co doprowadziło do

powstania struktur organizacyjnych zajmujących się pielęgnowaniem i rozwojem kultury kaszubskiej. Dzięki temu powstało działające do dziś Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie.

**B.P.** – Miarą tworzenia się jakiejś społeczności, struktury społecznej, jest między innymi uczestnictwo w wielkich ruchach sprzeciwu wobec władzy. Wybrzeże staje się języczkiem u wagi, gdy te struktury już istnieją, np. wielkie środowisko robotników stoczniowych. Rok 1970 jest tego przykładem.

**S.C.** – Masowe wystąpienia mieszkańców Trójmiasta przeciwko władzy ludowej mają miejsce w 1966, 1968 i 1970 roku. Ale dwa ostatnie z nich uznałbym za wystąpienia w pełni świadome. W 1966 r., podobnie jak w całym kraju, mamy obchody kościelne i obchody państwowe Milenium. Konflikt ten jest niejako naturalny, wygenerowany przez dualizm tych obchodów, w których władze przeciwstawiły chrześcijaństwo – państwowości polskiej.

**G.B.** – Chociaż można wspomnieć, że w maju 1966 r. doszło w Gdańsku do starć wierzni z MO. Przyczyną było zdemolowanie tablic z hasłem „Nie wybaczymy”, które odnosiło się do słynnego listu biskupów polskich do biskupów niemieckich z poprzedniego roku. Uczestnikami starcia przy Dworcu Głównym PKP byli wierni wracający z Mszy świętej w kościele Mariackim. Milicja zatrzymała kilkadziesiąt osób. Były to pierwsze po dwudziestu latach starcia mieszkańców miasta z siłami porządkowymi.

**B.P.** – Jak przebiegał na Wybrzeżu Marzec 1968 r.?

**S.C.** – Apogeum nastąpiło 15 marca, kiedy to w okolicach Politechniki Gdańskiej doszło do największej manifestacji marcowej w całej Polsce. Ponad 20 tys. ludzi dosłownie „prało się” z milicją, SB i wojskiem. Na miejsce manifestacji zwieziono „aktyw robotniczy”, lecz ten przeszedł na stronę młodzieży.

**G.B.** – To byli m.in. członkowie POP z różnych stoczni, poza łańcuchami wyposażono ich w pocięte kawałki grubych kabli. Ustawiono ich szpalerami, żeby wypełniali luki między zorganizowanymi formacjami bezpieczeństwa, ZOMO czy SB, byli tam też rozproszeni liczni oficerowie WP. To, że przeszli na stronę studentów, to jest jedna rzecz, a część, gdy milicja puściła gaz łzawiący, rzuciła te narzędzia i uciekła do domu. Ci szeregowi członkowie PZPR to nie byli ludzie nadający się do masakrowania demonstrantów. Tak do końca nie wiemy, w jakim stopniu o tak masowym charakterze manifestacji w okolicach Politechniki zdecydowało umieszczenie jej w bardzo specyficznym miejscu Gdańska. Tam krzyżują się drogi tramwajowe i szybkiej kolei miejskiej na osi północ–południe i wschód–zachód, które rozwożą ludzi po pracy do podmiejskich osiedli „sypialni”. W godzinach popołudniowych stanęła komunikacja w tym węzłowym punkcie. Wytworzyła się sytuacja taka, że wiele tysięcy ludzi, czasami mimowolnie, znalazło się w jednym czasie w jednym miejscu. Ciekawą rzeczą jest to, że inicjatywa zwołania wiecu i protestu wyszła z kręgów studenckich, natomiast gdyby spojrzeć na informacje o strukturze zatrzymanych, a później ukaranych przez kolegia ds. wykroczeń i sądy, to wśród tych zatrzymanych dominu-

ją robotnicy, nie studenci. Czyli głównymi ofiarami stali się młodzi, najczęściej, robotnicy stoczniowi i portowi.

**S.C.** – I tu rzecz zastanawiająca. Otóż po Grudniu '70 pamięć gdańskiego Marca, choćby tej wielkiej manifestacji, została właściwie całkowicie wymazana. Nie ma żadnych odwołań do 1968 r., nawet w publikacjach środowisk opozycyjnych, a przecież dwie ważne postaci gdańskiego antykomunizmu – Bogdan Borusewicz i Andrzej Gwiazda – były aktywnymi uczestnikami Marca '68. Na tym przykładzie widzimy, jak ważnym i niesamowitym wstrząsem był dla Trójmiasta Grudzień '70. To było coś zupełnie niespotykanego wcześniej – otwarty konflikt z władzą i masakra na ulicach Gdyni i Gdańska, to wstrząsnęło całym społeczeństwem.

**S.C.** – Co ciekawe, uczestnicy tych protestów są słabo reprezentowani w środowiskach antykomunistycznej opozycji po 1976 r. Jak popatrzymy na skład personalny tych środowisk, to np. z aktywnych „grudniowców” mamy jedynie Kazimierza Szołocha, a od 1978 r. Annę Walentynowicz i nieco później Lecha Wałęsę.

### **B.P. – A gdzie są pozostali uczestnicy i liderzy Grudnia 70?**

**S.C.** – Nieco na obrzeżach głównego nurtu znalazł się Henryk Jagielski, ważna postać strajku i protestu grudniowego w Stoczni Gdańskiej. Reszta raczej nie ma wielkiej ochoty angażować się w cokolwiek. Myślę, że – niestety – nad wszystkim zaciążyło zdecydowanie i bezwzględność władz, w tym SB, która po 1970 r. zorganizowała gigantyczną, największą w historii PRL na Wybrzeżu i jedną z największych w kraju – operację „Jesień 70”. W okresie 1970–1980 SB policzyła i zewidencjonowała – na podstawie donosów agentury, techniki operacyjnej, taśm i fotografii – większość aktywnych uczestników rewolty grudniowej. Prawie 1000 osób wyselekcjonowano do aktywnego rozpracowania. Inwigilowano wszystkich, nie wyłączając rodzin uczestników Grudnia. Niektórych z nich, jak np. pracownika Wydziału W-4 Józefa Szylera, po prostu zmuszono razem z rodziną do opuszczenia województwa gdańskiego. Opisywano i zdejmowano z grobów wiązanki kwiatów, liczono świece, charakteryzowano zadumanych nad grobami ludzi. Było tak praktycznie aż do Sierpnia '80. Wówczas pojawiły się nowe problemy i pamięć o Grudniu '70 nie była już tak ważna dla SB. Dla rodaków w głębi kraju nie jest to takie oczywiste, że Grudzień '70 stanowi na Wybrzeżu ważną cezurę. Społeczność Trójmiasta niejako odzyskała wówczas świadomość społeczną, polityczną i narodową.

### **B.P. – A jakie były wówczas postawy młodzieży?**

**S.C.** – Trójmiejska młodzież stanowiła fenomen w skali całego kraju. Uczniowie i absolwenci LO nr 1 w Gdańsku, którzy w drugiej połowie lat siedemdziesiątych utworzą środowisko młodopolskie, są coraz bardziej świadomi i aktywni. Już na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych świadomie wybierają antykomunizm, są na ulicach Gdańska w 1968 r. i 1970 r., angażują się w duszpasterstwo akademickie o. Ludwika Wiśniew-



skiego OP, później o. Bronisława Sroki SI, dyskutują o Piłsudskim i Dmowskim, o Katyniu, o Kościele, krytycznie spoglądają na ruch dysydencki jako metodę wychodzenia z komunizmu. W 1971 r. Arkadiusz Rybicki, Aleksander Hall, Jan Samsonowicz i inni organizują różne akcje sabotażowe – oblewanie farbą tablic partyjnych, pisanie na murach.

**B.P.** – System ma już trochę zmurszałe fundamenty, wchodzimy w okres ogromnych kłopotów gospodarczych, cała późniejsza dekada pokazuje, że system jest niewydolny. A rok 1970 dowodzi, że wielkie środowiska przemysłowe, zintegrowane pamięcią wspólnych manifestacji, są potencjalnie bardzo groźne. Zaczyna się ze strony władzy kokietowanie tych środowisk – propagandowe, czysto zewnętrzne. Wtedy najważniejszy z punktu widzenia władzy jest Śląsk oraz Wybrzeże.

**S.C.** – Jeśli chodzi o Wybrzeże, to było to dość skuteczne. Np. w 1976 r. w Gdańsku nie było jakichś znaczących wystąpień. Był strajk w Stoczni Gdańskiej, wyrzucono trochę ludzi z pracy, ale jakiejś większej ruchawki społecznej nie było. Gierek, kiedy po raz pierwszy pojawił się w Gdańsku w końcu stycznia i w czerwcu 1971 r., był tutaj fetowany. Co prawda, w pierwszej połowie 1971 r. często wybuchały strajki, ale były dość skutecznie wygaszane przez dyrekcję i partię, nie bez pomocy SB. Wydaje mi się, o czym już wspominałem wcześniej, że zadecydował strach. Ludzie chcieli spokojnie pracować, godnie zarabiać, ale twardo domagali się upamiętnienia poległych w 1970 r. i ukarania winnych masakry grudniowej. Proszę sobie wyobrazić, że nawet zakładowe organizacje partyjne, przy wsparciu niektórych kół z Komitetu Wojewódzkiego PZPR, angażowały się wówczas w proces upamiętnienia Grudnia '70. To partia i dyrekcja zakładu w 1971 r. i 1972 r.

składa wieńce pod bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Kilka lat później, począwszy od 1977 r., kiedy organizowane były niezależne obchody grudniowe w tym samym miejscu, są one brutalnie pacyfikowane i likwidowane.

**B.P.** – I te miejsca niebezpiecznie utrwały się w świadomości zbiorowej. Jedną z konsekwencji 1970 r. był strach ludzi sprawujących władzę na szczeblu lokalnym. Świadomość i obawa, że gwałtowny protest prowadzący do przelewu krwi ma też inną konsekwencję – wymianę ekipy rządzącej, bo trzeba wskazać odpowiedzialnego. Oni wiedzieli, że kolejny kryzys może stać się przyczyną utraty stanowiska i władzy.

**S.C.** – Zakładowe komórki partyjne domagały się pociągnięcia do odpowiedzialności winnych Grudnia '70 – w strukturach państwowych i partyjnych. Są protokoły z posiedzeń POP i komitetów zakładowych, na których „partyjniacy” domagają się od KC PZPR pociągnięcia winnych do odpowiedzialności. Padają nawet nazwiska. Gdańska PZPR wiedziała wówczas, że pamięci Grudnia wymazać się nie da, że zapadł on głęboko w świadomość mieszkańców Wybrzeża.

**B.P.** – Proszę powiedzieć o dwóch fenomenach Trójmiasta – Ruchu Młodej Polski i Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża.

**S.C.** – Fenomen Ruchu Młodej Polski to przede wszystkim koncepcja budowy środowiska jednopokoleniowego, świadomie antykomunistycznego, czerpiącego z przeszłości, ale spoglądającego ku przyszłości. Byli zafascynowani Dmowskim i endecją, ale był to dla nich punkt wyjścia do dalszych poszukiwań. Analizując historię polskiej myśli politycznej, młodopolacy doszli do wniosku, że nowoczesna polska formacja prawicowa winna uwzględniać dorobek endecji, oprzeć się na wartościach katolickich, ale też zająć postawę jednoznacznie wolnorynkową. Można powiedzieć, że środowisko to fascynuje się endecją, ale w wymiarze z przełomu XIX i XX wieku, czyli tą, która jako ruch narodotwórczy stawia sobie za cel uświadczenie Polaków, budowę społeczeństwa obywatelskiego. Młodopolacy odrzucali natomiast wszystkie zabobony endecji okresu międzywojennego – etatyzm, skrajny nacjonalizm i antysemityzm. Po endecji odziedziczyli też kółka samokształceniowe. Wykonywali gigantyczną robotę uświadczenia, zapraszali gości, organizowali spotkania, wykłady z historii Polski itd. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych na prawicy taka postawa należała jednak do wyjątków.

**B.P.** – A czy w większości nie są to historycy, uczniowie tego samego profesora?

**S.C.** – Coś w tym jest. Sam jestem wychowankiem profesora Romana Wapińskiego, i choć studiowałem w zupełnie innej epoce (w wolnej Polsce), mogę sobie jednak wyobrazić, jaka atmosfera panowała na jego seminariach. Z tej „burzy mózgów” wyłoniło się wielu młodopolaków – Aleksander Hall, Arkadiusz Rybicki, wcześniej Tomasz Wołek i Jan Samsonowicz, Antoni Wręga, Andrzej Jarmakowski. Profesor, choć do 1980 r. był w partii i nie angażował



się nigdy w działalność opozycyjną, dawał jednak azyl ludziom szukającym czegoś więcej niż tylko dyplomu ukończenia studiów. W humanistyce okresu PRL to było już coś konkretnego.

**B.P. – Byli jacyś inni nauczyciele?**

**S.C.** – W pełnym tego słowa znaczeniu nauczycielem polityki dla młodopolaków we wczesnym okresie kształtowania się środowiska był na pewno Leszek Moczulski. W odróżnieniu od reszty naszych opozycjonistów dostrzegał znaczenie geografii politycznej – geopolityki. Kiedy wszyscy, zwłaszcza w Warszawie, debatowali o dysydentach, zakresie działania wewnątrzsystemowej opozycji czy nawet represjach, to Moczulski mówił o Polsce jako elemencie gry na wielkiej szachownicy międzynarodowej polityki. Niezależnie od ujawnienia faktu jego współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa w latach siedemdziesiątych, trzeba mu to oddać.

**B.P. – Nieco późniejszą, także lokalną, choć jednak o fundamentalnym znaczeniu dla dziejów oporu społecznego inicjatywą, były Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża.**

**S.C.** – Fenomen WZZ Wybrzeża wziął się z pewnego rozczarowania środowiskiem warszawskim, które – jak mówiono w Trójmieście – nie docenia środowiska robotniczego. Nikt tu nie kwestionował tego, że warszawiacy pomagali represjonowanym, natomiast zastanowienie budził fakt, że tak niewielu z robotników represjonowanych w 1976 r. zasilalo szeregi opozycji. W przekonaniu jednego z założycieli WZZ, Krzysztofa Wyszkowskiego, wynikało to z pewnej niechęci korowskiej inteligencji do ludzi z nizin społecznych, robotników z prowincji. Coś w tym jest. Nieprzypadkowo to „stolarz-intelektualista” (określenie SB) Wyszkowski wychodzi z koncepcją WZZ, w których widzi załączek polskich „trade unionów”, charakterystycznych dla ustroju wolnorynkowego. Koncepcję tę przeciwstawiał idei komisji robotniczych, którymi fascynował się jego serdeczny kolega z Warszawy Jacek Kuroń. Gdańszczanie uważali, że robotnicy to potencjał, to ci ludzie, od których zależy koniec komunizmu. Przykładem niech będzie Bogdan Borusewicz, który na własną rękę, zanim jeszcze poznał braci Wyszkowskich (Błażej był działaczem SKS i WZZ) i małżeństwo Gwiazdów, dociera do osób zwalnianych z pracy po 1976 r., próbuje też odnaleźć aktywnych w Grudniu '70. A więc niezależnie od siebie uważali oni, że to robotnicy mają stanowić bazę do prowadzenia działalności politycznej, ale nie na zasadach podporządkowania i wykorzystania. Przykładem niech będzie Antoni Sokołowski, spawacz, bardzo prosty człowiek, który podpisał deklarację założycielską WZZ. Wkrótce później został zaszczyty przez SB, grożono mu, że jego córce może się stać coś niedobrego. Wycofał się, niedługo potem zmarł. Inny przykład to dwudziestoletni Tadeusz Szczepański, kierowca, działacz i kolporter WZZ z „Elektromontażu”, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Należał do grupy Lecha Wałęsy. Są „młode chłopak” od druku i kolportażu – Andrzej Butkiewicz, Leszek Zborowski i Jan Karandziej. Czy wreszcie Anna Walentynowicz – suwnicowa ze Stoczni Gdańskiej, która zaczęła publikować artykuły w „Robotniku Wybrzeża”, piśmie WZZ. Razem z nimi jest w WZZ inżynier Andrzej Gwiazda i doktor Lech Kaczyński, pracownik Uniwersytetu Gdańskiego, specjalizujący się w prawie pracy, który poświęcał swój czas na porady prawne dla działaczy WZZ.

**B.P. – Kiedy spotykają się WZZ i RMP?**

**S.C.** – Właśnie, jeden z fenomenów tego miejsca polega też i na tym, że oni wszyscy współpracują na co dzień, spotykają się. Warto w tym miejscu powiedzieć o ważnej postaci trójmiejskiej opozycji, bez której ten pejzaż byłby niepełny – Tadeuszu Szczudłowski. Pochodzi ze Lwowa, z domu o tradycjach żołnierskich, niepodległościowych. Dla niego walka z komunizmem to przedłużenie Polski Walczącej. Nawet myślał o wojskowej karierze w PRL, ale został wyrzucony w latach pięćdziesiątych z Marynarki Wojennej. Jemu marzyły się Szare Szeregi. Środowisko, z którym wiąże pewne nadzieje, to „Ruch”, a później ROPCiO. Jego krąg to Andrzej Czuma, Marian Gołębiewski, Leszek Moczulski, generał Abraham i inni. Prowadził w domu punkt konsultacyjny ROPCiO. Młodzież młodopolska, niejako pod jego boki, tworzy w Gdańsku młodzieżówkę ROPCiO. Szczudłowski to wolny strzelec, zapraszał do siebie wszystkich, działaczy WZZ, ROPCiO i RMP.

**B.P. – W jaki sposób ze sobą współpracowano?**

**S.C.** – Przy organizowaniu manifestacji. W tej sprawie nastąpił swego rodzaju podział kompetencji – obchody 3 Maja i 11 Listopada znalazły się w gestii RMP; Grudzień '70 – to była domena ludzi z WZZ. Ale na wszystkich tych imprezach są razem. Jak popatrzymy na listy osób przewencyjnie zatrzymywanych przed 3 Maja, 11 Listopada czy rocznicą Grudnia, to na nich są wszyscy, bo wszyscy uczestniczyli w tych obchodach. Nie gardzono żadną z tych tradycji, bo wszyscy tu myśleli o niepodległości. Nieprzypadkowo wśród działaczy opozycyjnych w Gdańsku nie ma żadnej osoby, która wywodziłaby się z kadry PZPR. Nie ma tu nawróconych aparatczyków.

**G.B.** – Są jednak osoby, które przychodzą z różnych środowisk, ocierają się o tę ofertę socjalizmu dla prostych ludzi, a potem, widząc, że to jest załgane, rzucają to. Klasycznym przykładem jest Anna Walentynowicz, która była robotnicą. Przecież ona do 1956 r. czy może nawet dłużej wierzyła, że to jest ustrój dla takich ludzi jak ona.

**S.C.** – Była w ZMS, ale w partii nigdy nie była, choć wielokrotnie ją nagabywano, by wstąpiła do PZPR. Była religijna, to bardzo ważne.

**G.B.** – I udzielała się w Lidze Kobiet. Więc w przypadku wielu osób nie było negacji, odrzucenia *a priori* ustroju stworzonego przez komunistów. A Anna Walentynowicz we wczesnej młodości pracowała jako pomoc domowa u ludzi, którzy ją okropnie wykorzystywali. Gdy została potraktowana jak „obywatel”, to przyjęła to jako coś pozytywnego. Nie zważając na to, że jej brat został zakatowany gdzieś w głębi Rosji przez Sowieców.

**S.C.** – Tak, ale w Grudniu 1970 r. nie tylko powiedziała „nie” komunistom, ale zaangażowała się w walkę z komuną. W 1978 r., kiedy powstały WZZ, była już bardzo świadoma, jak prawie wszyscy w WZZ.

**B.P.** – Powstanie „Solidarności” na Wybrzeżu nie było przypadkiem, ale konsekwencją. Ona musiała tu powstać, właśnie dlatego, że tu były WZZ, a one musiały tu powstać dlatego, że tutaj był Grudzień '70.

**S.C.** – Fenomen Sierpnia '80 był fenomenem WZZ. Szef MKS jest z WZZ, główny negocjator i strateg, bez którego nie byłoby porozumienia w takim kształcie – Andrzej Gwiżdża – również. W prezydium MKS byli ludzie z WZZ (np. Alina Pieńkowska i Anna Walentynowicz), w poligrafii stoczniowej i nie tylko olbrzymią rolę odgrywał Krzysztof Wyszkowski, na zapleczu strajków i MKS był świetny organizator Bogdan Borusewicz. W Gdyni jest Andrzej Kołodziej, też działacz WZZ, który mając 19 lat, przepracował w Stoczni Gdynińskiej jeden dzień, a „podpalił” stocznię i stanął na czele strajku.

**G.B.** – I tu nie ma mowy o przypadku, bo to są ludzie nękania przynajmniej od dwóch lat. I mimo tej presji nie poddali się, zostali w pełni ukształtowani przez wcześniejsze wystąpienia, nawet jeśli miały one charakter przypadkowy. Uczestnictwo w tym wszystkim było dobrym przygotowaniem, kilkuletnim. W momencie próby, konfrontacji – zdają egzamin.

**S.C.** – W krytycznym momencie – 16 sierpnia – oni wiedzą, jak tym kryzysem pokierować. Strajk ratują trzy kobiety z WZZ – Anna Walentynowicz, Alina Pieńkowska i Maria Osowska. Wszystkie z WZZ. I wreszcie czasy nam współczesne – na trzech prezydentów wolnej Polski dwóch to WZZ-owcy – Lech Wałęsa i Lech Kaczyński. To również o czymś świadczy. Marszałek Senatu – z WZZ, Marszałek Sejmu – choć nie z Gdańska, to jednak z RMP, który powstał w Gdańsku itd.



**Grzegorz Berendt** – ur. 1964 r., doktor, historyk, adiunkt w Instytucie Historii Uniwersytetu Gdańskiego. Zajmuje się badaniami nad historią Żydów w Polsce w XX w. i dziejami Pomorza Gdańskiego w tym samym okresie. Autor 50 publikacji naukowych, m.in. *Żydzi na terenie Wolnego Miasta Gdańska w latach 1920–1945* (1997), *Żydzi na gdańskim rozdrożu 1945–1950* (2000); wraz z Augustem Grabskim współautor książki *Między emigracją a trwaniem. Syjoniści i komuniści żydowscy w Polsce po Holocaulście* (2003); autor rozdziałów dotyczących lat 1920–1989 w pracach zbiorowych *Historia Pucka* (1998), *Dzieje Krokowej i okolic* (2002).



**Sławomir Cenckiewicz** – ur. 1971 r., doktor nauk humanistycznych, w latach 2003–2005 pracownik Instytutu Historii Uniwersytetu Gdańskiego; w latach 2001–2006 pracownik naukowy OBEP IPN w Gdańsku, obecnie w BUiAD IPN w Warszawie. Specjalizuje się w dziejach polskiej emigracji politycznej, Polonii amerykańskiej i opozycji antykomunistycznej w PRL. Stypendysta Free Speech Foundation w Chicago. Opublikował m.in.: *Oczami bezpieki. Szkice i materiały z dziejów aparatu bezpieczeństwa PRL* (2004); *Tadeusz Katelbach (1897–1977). Biografia polityczna* (2005).